Rok I. Tarnów, Październik 1919. Numer 5.

CZUWAJ

CZASOPISMO TARNOWSKIEJ MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ

REDAKCJA I ADMINISTRACJA TARNÓW MAŁA STRUSINA 2

CENA EGZEMPL. 1 K.

NA OTWARCIE WILEŃSKIEJ WSZECHNICY.

Doczekaliśmy się chwil wielkich i wzniosłych. W oczach naszych buduje się gmach państwowości polskiej. W oczach naszych stawiano fundamenty i wznoszono potężne, kamienne ściany, a teraz Sejm Walny kończy monumentalną budowę Rzeczypospolitej. W oczach naszych wstała jak z podziemi miljonowa armia polska i na wszystkich kresach gromi nieprzyjaciół, wyrębując Ojczyźnie szerokie granice...

Ale też niestety ten nawał, ta lawina cudownych zdarzeń i epokowych przewrotów, dokonanych jakby w jednej chwili, za jednym potężnym zamachem oślepiła nas i przygniotła, a potem przyzwyczaiła do tej nadzwyczajnej epoki wśród której żyjemy. Troski i klęki tych przejściowych wojennych lat znużyły nas i osnuły nam ducha, może mimo naszej woli, apatją. Zamało zdajemy sobie sprawę z tego co się dzieje, zamało cieszymy się z tryumfów oręża polskiego i ducha. Społeczeństwo skurczyło się w sobie, zawarło swe myśli w błędne koło codziennych trosk i kłopotów, których nie brak teraz nikomu — i nie znajduje miejsca na radość i dumę z cudownego dźwigania się z rumowisk i popiołów zmartwychwstałej Ojczyzny.

A przecie dzieją się rzeczy tak wielkie...

Oto słyszymy, że sławny w dziejach naszych Uniwersytet Wileński, niegdyś za rządów osławionego Nowosilcowa ostoja polskości i czujny strażnik „narodowego pamiątek kościoła“ odrodził się i synów wileńskiej ziemi woła do siebie. Przygarnie do siebie setki młodych, żądnych wiedzy dusz, aby wykształcić nowy legjon pracowników dla narodowego warsztatu, a przedewszystkiem dla pięknej litewskiej krainy, która znowu łączy się z Koroną w jedno nierozerwalne ciało.

I nic dziwnego, że na te radosne dni, przybrało Wilno odświętną szatę. Nic dziwnego, że dreszcz zapału wstrząsnął starym grodem i w przepięknych manifestacjach objawiło się całe przywiązanie jego do wspólnej Ojczyzny i umiłowanie tego najdroższego dziecięcia, jakiem będzie dlań świeżo otwarta wileńska wszechnica.

Bo znowu stało się sercem polskich kresów...

I warownią polskości, twierdzą o murach niespożytych...

Świętym ogniem wiedzy, rzucającym blaski na cały ogromny szmat ziemkresowych od granic północnych, po ruskie dzierżawy.

Więc kto żył w Wilnie, w kim tylko szczere polskie serce biło, radował się i wznosił okrzyki na cześć jednoczącej się Macierzy; i wyległszy na ulice miasta witali mieszkańcy grodu gości z Korony z ukochanym Naczelnikiem na czele. Buchały okrzyki uniesienia, a wtórowały im huczne, wojskowe muzyki rżnące od ucha, z fantazją polskie melodje i pieśni, których stare miasto nie słyszało sto lat z górą, przygniecione brutalną stopą najeźdcy.

W katedrze wileńskiej msza uroczysta. Cała Polska w nawie kościelnej. Górują nad tłumem żołnierskie marsowe oblicza. Naczelnik Piłsudski, syn tej litewskiej ziemi, fanatyczny miłośnik Wilna w stellach siedzi, a chciwe oczy tłumów wbijają się w to twarde oblicze Wodza z miłością i uwielbieniem. Migocą w blasku świec jarzących się u ołtarza jeneralskie szlify i naszycia na ramionach tych, którzy na czele bohaterskich, orlich zastępów gnali przed sobą hordy uciekającego wroga aż po chłodne wody Dźwiny i Berezyny. Tam, ci sami którzy nad tą rzeką, nad którą załamała się i zwaliła w gruzy potęga francuskiego Cesarza, ustawili teraz mur żelazny z bagnetów szarej, wytrwałej w boju piechoty i ułańskich szabel — zjechali teraz w mury uniwersyteckiego grodu, aby uczcić powstanie nowej, kresowej strażnicy myśli polskiej. Oswobodzicieli swoich i wybawców z barbarzyńskiej niewoli, oglądają oczy zgromadzonego w kościele ludu.

Dzieło Stefana Batorego, króla nad króle, dzieło Złotoustego Skargi, proroka upadającej Rzeczypospolitej, zniszczone świętokradczą ręką wrażych zdobywców, odżyło i przyoblekło się w szatę rzeczywistości. Jest, żyje, rośnie w siły...

Wielką zaiste jest moc żywotna tkwiąca w narodzie.

W oczach waszych harcerze i harcerki, dokonuje się to dzieło odrodzenia i nasuwa wam tysiące wspomnień, które wzruszyć was powinny i napełnić miłością dla tej uczelni, w której murach kształcił się nasz wieszcz narodowy, która rzuciła całej Polsce szczytne filareckie hasła i zajaśniała mnóstwem umysłów, pełnych wiedzy, cnót i ukochania kraju.

Harcerze i harcerki! dla was powołanie do życia wileńskiej wszechnicy jest świętem. Obchodźcie je radośnie, z myślą o tej prawdziwie harcerskiej młodzieży która wyszła niegdyś w świat z tej kresowej uczelni.

BOGACTWA KOPALNE POLSKI.

To, co się mówi o wielkich bogactwach naszego kraju i o niewyczerpanych jego zasobach, dających zamieszkującemu go społeczeństwu szerokie podstawy do przyszłego materjalnego rozwoju, nie mija się z prawdą. Tych skarbów, które posiadamy, pozazdrościć nam może niejedna kraina i niejeden naród na kuli ziemskiej; a choć ziemie polskie nie są pod tym względem eldoradem, opływającem w dostatki, to jednak potrafimy tem, co mamy, zaspokoić swoje potrzeby gospodarcze, a i na wywóz coś nam pozostanie.

Do tych bogactw należą przedewszystkiem kopaliny, rozmieszczone w znacznych ilościach na ziemiach polskich. Rozległe i bogate pokłady czarnych „dyamentów", t. j. węgla kamiennego, i obfite źródła nafty, to najwalniejsza opoka, na której stanie silny i wielki gmach polskiego przemysłu. Ale po za tymi dwoma królewskimi klejnotami, które posiada nasza ziemia, nie brak nam i innych. Należą do nich: rozrzucone na znacznych obszarach, dobrego gatunku rudy żelazne, wspaniałe złoża soli, na terenach naftowych wosk ziemny, rudy cynkowe i ołowiane, siarka, miedź, fosforyty, węgiel brunatny, torf, sole potasowe, kamień budowlany, marmury, wapienie, piaskowce, margle na cement, bogate pokłady gipsu i kredy. Prócz tego mamy w Tatrach niewyczerpane bogactwa granitów, w różnych punktach naszego kraju glinę garncarską i do wyrobów ceramicznych, gliny ogniotrwałe i ochrę farbiarską na farby mineralne, a wreszcie obfite źródła mineralne, za mało jeszcze wyzyskane i nie otaczane pieczołowitą opieką. Ewentualnie zaś, w razie objęcia naszemi granicami Wołynia, znajdziemy tam bazalt i labradoryt.

Kto wie zresztą, czy nie posiadamy jeszcze jakichś skarbów, o których nie wiemy. Wszak zawartość ziemi, na której mieszkamy, nie jest jeszcze ostatecznie zbadana. Najbliższa przyszłość zapewne wykaże, że wnętrza naszej poczciwej polskiej ziemicy obfitują w jakieś dotychczas nie ujawnione złoża mineralne, które po latach dopiero ulegną eksploatacji.

Rozmieszczenie naszych płodów kopalnych jest bardzo rozmaite; wiemy jednak, że najlepiej uposażone pod tym względem, są: Śląsk Górny i Cieszyński i Małopolska. Reszta, t. j. Wielkopolska, Mazowsze, Prusy Zachodnie i ziemie litewsko-białoruskie są bez porównania uboższe.

Podstawą rozwoju życia ekonomicznego jest węgiel kamienny. On jest tą wszechmocną, panującą siłą popędową, która uruchomiła i trzyma przy życiu olbrzymią machinę gospodarczą, w którą powoli zmienia się nasz planeta, on króluje dotychczas niepodzielnie w fabrykach, zakładach i centrach przemysłowych, które wyrosły w różnych punktach globu, lasami kominów i kłębami czarnego dymu plamiąc horyzont.

Tego węgla mamy poddostatkiem. Wartość jego na ziemiach polskich jest większa od wartości wszystkich pozostałych płodów kopalnych razem wziętych, tereny „czarnych djamentów", czyli t. zw. Śląsko-krakowskie Zagłębie węglowe, obejmują obszar około 6000 km^2, z czego połowa przypada na sam Śląsk Górny. Na tem terytorjum roboty górnicze stwierdziły 4200 km^2 przestrzeni węglowej, nadającej się do produkcyi (1.000 metrów głębokości), W południowej części Zagłębia leży węgiel nawet poniżej 1000 metrów pod powierzchnią ziemi.

Warstwy węglowe Zagłębia odznaczają się wielką miąższością; pozatem węgiel ten jest czysty (70—80^0). Jednakowoż wartość jego zmniejsza się idąc na wschód i północ terenów. Tam węgiel jest t. zw. chudy, podczas gdy na Śląsku Cieszyńskim i w południowej części Śląska Górnego węgiel jest tłusty, dający znakomity koks hutniczy. Daje on też więcej ciepła.

Normalna roczna produkcja Zagłębia wynosi około 57 miljonów tonn. W tem produkuje Śląsk Górny 43·5 miljonów tonn, Zagłębie dąbrowskie 6·8 mil. tonn, Zagłębie krakowskie około 2 mil. tonn, Śląski Cieszyński 4·5 mil. tonn (daty z r. 1913). — Obliczono, że gdyby produkcja roczna utrzymywała się u nas na tym samym poziomie, starczyłoby nam zapasów węgla na 1500 lat!

O potędze węgla świadczy kolosalny rozwój Śląska, który dziś dzięki „czarnym djamentom" jest jedną wielką wytwórnią przemysłową, gdzie gwizd kominów fabrycznych woła do pracy setki tysięcy robotników, a tysiączne huty, stalownie, tkalnie i fabryki przetworów chemicznych, wyrzucają dzień w dzień na rynek światowy towary miljonowej wartości. Oto co pisze J. Grabiec o tym wielkim przemyśle, wyrosłym na podłożu węglowych bogactw: „Szczególnie ożywiony jest trójkąt którego punktami końcowymi są miasta: Gliwice, Bytom i Mysłowice. Podróżnik jedzie tam wciąż wśród piętrzących się kominów fabrycznych, widać wciąż łuny hut olbrzymich po kraju, osnutym bodaj najgęstszą w Europie siecią linji kolejowych, tramwajowych i szos i mającym niesłychanie gęstą ludność".

Nic też dziwnego, że zachłanni Niemcy trzymają mocno w łapczywych garściach tę złotodajną krainę i rękami i nogami bronią się przed jej utratą (która ich zresztą i tak nie minie).

Oprócz węgla kamiennego posiadamy znaczne pokłady węgla brunatnego, rozrzucone w wielu okolicach ziem polskich. Ustępuje on wprawdzie węglowi kamiennemu pod względem jakości chemicznej i technicznej, posiada jednak spore znaczenie jako materjał opałowy, zwłaszcza dla potrzeb krajowych. — (Na wywóz jego w większych ilościach liczyć nie można).

Węgiel brunatny występuje na wyżynie małopolskiej, w okolicy Zawiercia, w terenach między Zagłębiem Dąbrowskiem a Częstochową i (bardzo niewiele) na Śląsku Opolskim i w Krakowskiem. Jest to t. zw. „węgiel blanowicki".

Druga grupa węgli brunatnych, to lignity, napotykane w Karpatach, na Podkarpaciu i wyżynie podolskiej. Znachodzimy tu węgiel: nad Dunajcem, koło Nowego Sącza, Dębicy, Kołomyi, Śniatyna, Rawy Ruskiej, Żółkwi, Złoczowa, Czortkowa i t. d. Prócz tego posiada go wyżyna Wołyńsko-Podolska w okolicach Krzemieńca.

Trzeci obszar tego węgla stanowią: Wielkopolska i Prusy Zachodnie. Tu występuje on w grubszych pokładach niż w Małopolsce, odznacza się lepszą jakością i jest szerzej stosowany jako materjał opałowy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W TATRACH.

(Ciąg dalszy).

Chłopcy zerwali się momentalnie i przybrali odpowiednią postawę.

Rozpoczynamy gawędę. Rozejść się i pousiadać dookoła ogniska.

Komenda została wykonaną w milczeniu. Chłopcy zasiedli znowu koło ogniska i zaczęli nadsłuchiwać, o czem będzie gawęda prowadzona. Od czasu do czasu jeden drugiemu szeptem poddawał projekt gawędy, a komendant milczał.

— Słuchaj Stefku, jesteśmy w Tatrach, urządźmy tedy gawędę o tychże górach. Każdy opowie jakieś wspomnienie lub zasłyszane opowiadanie, dotyczące Tatr — zaproponował drużynowemu jego zastępca — Władek.

— Tak, tak, o Tatrach, o naszych kochanych górach — zaczęli prosić chłopcy, wychodząc zwolna z dawnego smutnego nastroju, a każdy kombinował co będzie opowiadał, gdy na niego przyjdzie kolej.

— Więc chcecie gawędę stosowną do naszej wycieczki? — zapytał z urzędową miną Stefek. — Tedy dobrze, ale każdy opowiadający będzie się starał jak najmniej blagować.

— Brawo, nie blagować!

— No tak, nie zupełnie. Trochę fantazji nie zaszkodzi. A teraz, panie projektodawco, proszę rozpocząć swe opowiadanie.

Władek podrapał się z lekka za uchem i zaczął;

— Wiadomo wam wszystkim, że już nieraz byłem na wycieczce w Tatrach. Mam tedy spory zapas własnych wrażeń, a jeżeli wolicie, to mogę wam także powtórzyć które z opowiadań starych baców. Nasłuchałem się ich dość, gdyśmy nocowali po szałasach, a baca kurząc fajkę i napełniając ją zwolna „chabryką" — mówił. A każdy z Was chyba słyszał, że górale umieją bardzo ładnie opowiadać.

— Własne wrażenia opowiadaj!

— Naturalnie! — Te opowiadania krążą po Tatrach, to może je i tak usłyszymy. — A Twoje wrażenia są Twoje i pozostaną niemi,

— A blaguj porządnie!

— Będę się starał jak najmniej dodawać, ale nie wiem, czy wtedy zajmie was to opowiadanie. No ale wybiorę coś najbardziej interesującego.

I Władek zatonął w myślach. Przeżyte wrażenia stanęły mu znowu przed oczyma a on upatrywał między niemi czegoś najbardziej oddziaływującego na słuchaczy. Wreszcie!...

— Opowiem wam tedy, jak zdołałem się uratować cudownym sposobem na Wysokiej.

— Blaguj tedy, a jak skończysz, zadeklamuję wam Tetmajera — ozwał się pierwszy zastępowy Władek.

— Nie przerywaj opowiadania! — zgromił go Stefek.

— Opowiadanie moje będzie wyglądać na nieprawdopodobieństwo, ale ileż nieprawdopodobnych rzeczy dzieje się w Tatrach! Jeżeli chcecie, wierzcie, jeżeli nie chcecie, to nie! Nie zależy mi na tem, chcę tylko zabawić was, a reszta mnie nic nie obchodzi. *Z. P.*

(Ciąg dalszy nastąpi).

PIONIER.

(Ciąg dalszy).

Łatwy do zbudowania będzie szałas półotwarty, w formie dachu, jednospadkowego, do którego dodać można ściany boczne. W takim razie stanowi on dobrą osłonę od wiatru, od biedy służyć może jako schronienie w czasie deszczu.

Każdy szałas składa się z dwóch części: ze szkieletu i poszycia, stanowiącego dach i ściany szałasu. Ważną rzeczą jest wyszukanie i zgromadzenie przed zaczęciem roboty w dostatecznej ilości odpowiedniego materjału. Potrzebne nam będą: dwa grube, proste kije do 2 m. wysokie, na jednym końcu rozwidlone, na podstawę szkieletu. Do tego celu mogą równie dobrze służyć dwa pnie drzew rosnących w pobliżu, a posiadające na wysokości około 2 m. rozgałęzienia. Wyszukać należy dalej kilkanaście żerdzi i prętów.

Poszycie szałasu składać się może z gałązek drzew tak liściastych, jak i szpilkowych. Z tych ostatnich najlepsze są gałęzie świerku, które, jako długie, szerokie, giętkie i dobrze przystające do siebie, a gęste, tworzą jednolitą warstwę. Znacznie gorzej używać do tego celu gałązek sosny, której szpilki stojące w pęczkach odstają od siebie. Jednak w zimie po przysypaniu śniegiem są nie do zastąpienia. Z drzew liściastych najlepsze okazały się gałązki brzozy płaczącej. Są one długie, gęsto ulistnione, po zwiędnięciu przystają do siebie i tworzą tę tak pożądaną przez nas jednolitą i nieprzemakalną warstwę. Równie dobre są gałęzie lipy i leszczyny. Mniej przydatne, ale możliwe do użycia są gałęzie buku, grabu i dębu. Gałązki ich są kruche, a liście sztywne i duże, odstają od gałązek i nieprzylegają do siebie. Dobrze jest używać na budowę jednego szałasu gałęzi rozmaitych drzew.

Materjał zgromadzony, zabieramy się do budowy.

Wbijamy mocno w ziemię pionowo gałęzie zakończone widełkami i łączymy je poprzeczną żerdzią, którą

wspieramy na widełkach (albo jeśli zamiast tych używamy dogodnie dla nas rosnących drzew, łączymy je żerdzią), na niej opieramy szereg prętów wbitych drugim końcem w ziemię; możemy też przywiązać je do tej poprzeczki górnej. Pręty te przeplatamy wpoprzek, równolegle do żerdzi poprzecznej.takimiż samymi prętami i otrzymujemy jakby kratę. Szkielet szałasu już gotów. Kratę tę przeplatamy teraz od dołu (aby warstwy zachodziły na siebie jak dachówka, a woda spływała po nich) poczynając gałązkami drzew, o których wyżej była mowa. Gałązki drzew liściastych w poszyciu powinny być ułożone stroną górną liści na zewnątrz, dolną na wewnątrz, tak jak rosną w przyrodzie. Znajdujące się na liściu kanaliki powstałe z mierwienia liścia znakomicie pomagają do spływania wody deszczowej. Inaczej rzecz się ma u drzew iglastych; tam kanaliki te znajdują się na spodniej stronie igieł i dla tego gałązki świerku i jodły układać należy spodem na zewnątrz.

Pokrycie szałasu z gałęzi uszczelnić można doskonale paprocią; można z niej zrobić nawet całe poszycie szałasu.

Wszystko to można jeszcze umocnić zapomocą grubszych gałęzi, lub skośnie przytwierdzonych żerdzi, albo też płótnem namiotowem, Można też pokryć ścianę gliną lub ziemią, a otrzymamy półziemiankę.

Gdy dwa takie szałasy połączymy w jeden szałas o trzech ścianach, otrzymamy wyborne schronienie na czas dłuższy, o ile naturalnie uważamy i wszelkie uszkodzenia zaraz naprawiamy. Zabezpieczyć się trzeba od przeciekania wody zwłaszcza przy wierzchołku.

Zależnie od materjału, czasu i celu, tj. czy szałas ma służyć za chwilowe schronienie, czy też dłuższe „mieszkanie“, budować możemy i inne rodzaje szałasów: w formie piramidy, okrągły (szereg żerdzi wbitych na obwodzie kwadratu, względnie koła, połączonych u góry, przeplatamy w poprzek i dajemy odpowiednie poszycie) i t. p.

Ogólnie znany jest bardzo prosty, ale też nietrwały szałas, mogący służyć za schronisko kilkunastogodzinne, budujemy go w sposób następujący: na rozgałęzieniu drzew opieramy parę mocnych żerdzi, na których zawieszamy szereg gałęzi możliwie gęstych, tak, aby końcami opierały się o ziemię, przetykamy je dla uszczelnienia drobniejszemi gałązkami i okrywamy płachtą namiotową, ewentualnie obkładamy darnią.

Szałas należy naturalnie okopać.

Na mieszkanie w zimie nadają się doskonale ziemianki t. j. doły wykopane w ziemi na głębokość około 2 m. z dachem z desek, płócien namiotowych i t. p.

(Dokończenie nastąpi).

ZE WSPOMNIEŃ ZWIERZYNIANKI.

ZWIERZYNIEC ORDYNACKI

CZYLI „MENAŻERJA HARCERSKA“.

Z końcem roku szkolnego — a więc w czasie tworzenia najfantystyczniejszych projektów co do spędzenia wakacji — otrzymałyśmy zawiadomienie o kursach instruktorskich, projektowanych przez Warszawę.

Nie namyślałyśmy się długo — wszak cała nasza praca rozbijała się dotąd o brak sił fachowych. A zresztą miał to być pierwszy kurs w wolnej Polsce, kurs dla wszystkich zjednoczonych już dzielnic. Toteż wszelkie „ale“ musiały ustąpić i po długich naradach i perswazjach stanęło: jedziemy. —

Po otrzymaniu depeszy uwiadamiającej o przyjęciu, szybko pakujemy plecaki i „same dwie“ — ku ogólnemu oburzeniu — opuszczamy stołeczne miasto Tarnów, udając się w daleką drogę, na terytorjum byłej Kongresówki, aż pod Zamość do Zwierzyńca. Żegnające nas towarzystwo nie najlepsze miało miny — my natomiast byłyśmy zachwycone. W imię zasady „jakoś to będzie“ (bo być musi — rzecz prosta), dusimy się w przepełnionym pociągu, siedzimy bynajmniej nie zrozpaczone w Jarosławiu, awanturujemy się na granicy o pozwolenie przejazdu i t. d. Po długich tarapatach docieramy do Zwierzyńca.

Wita nas szary, mglisty ranek, a nieświadomość dalszego losu nastroju nastraja nas niewyraźnie... Lecz jakoś to będzie... Wysiadamy.

Mała stacyjka, (przypominająca piernikową chałupkę z bajki), za nią droga i ...las. Zwierzyńca ani widać. Leży podobno za lasem. Wszystko jedno... Ruszamy w las szukać Zwierzyńca — gdy nagle tuż obok odzywają się śmiechy i „Czuwaj!“... Znajomi druhowie spełniając dobry uczynek, przyszli na stację, by się zająć nowoprzybyłymi. Po drodze dowiadujemy się, że „stoimy“, czyli kwaterujemy w szkole, że dziewcząt jest już sto, a druhów drugie tyle, że są nawet goście z Kijowa i t. d.

Aleją pomiędzy lasem, a parkiem Zamojskich dobijamy do portu, czyli szkoły. Cisza... Wszyscy śpią jeszcze, a my choć umęczone zostajemy na dole, by się przypatrzeć jak wygląda ranny apel. Na głos przeraźliwego gwizdka, z wszystkich izb wysypało się nasze bractwo, wesołe, śmiejące się, choć jeszcze zaspane. Dhna komendantka obozu (jak się później dowiedziałam — Baba Jaga), „spiritus movens“ całego kursu, rozkazuje przygotować się na otwarcie kursu.

Po nabożeństwie odbył się na błoniach za obozem pierwszy raport kursu. Niezapomniane wrażenia... Czuło się, że przeszło dwieście najlepszych serc polskiej młodzieży, bije temsamem uczuciem gorącej miłości Ojczyzny. Las szumiał poważnie, — a serdeczne i gorące słowa naszych komendantów wzywały do prawdziwej, wytrwałej pracy. Tak zaczął się kurs. — Lecz ani na chwilę nie przypuszczałyśmy, że da nam tak bardzo wiele, nie tylko wiadomości, ale i głębokiego zrozumienia wartości pracy.

Tyle jasnych świetlanych chwil, tyle wspomnień niezatartych, — a nadewszystko ta szczera, serdeczna przyjaźń, której wielkiej wartości w życiu niedoceniamy nieraz. Nie obcem nam było życie harcerskie stałe, lecz nowe środowisko, nowe warunki i ludzie dotąd nieznani, wszystko to razem dawało pole łatwej obserwacyi i wielką ilość spostrzeżeń. Rzeczą uderzającą na pierwszy rzut oka była nadzwyczajna wesołość i swoboda, przy ścisłej dyscyplinie i wzorowej karności. Życie nasze było również stwierdzeniem, że prawo harcerskie, to nie czcza formułka, lecz norma życia i postępowania wielu jednostek; zwłaszcza braterstwo harcerskie stało się dla nas zasadą nieodłączną, dzięki czemu właśnie czułyśmy się wszystkie na kursie jak wśród najserdeczniejszej rodziny.

Od pierwszego już dnia zaczęła się dokładna, systematyczna praca. Plan dnia, opracowany zawsze bardzo starannie, a ogłaszany przy codziennej odprawie, bywał zwykłe dość urozmaicony...

Więc ćwiczenia w terenie, wykłady, gimnastyka, przyroda — naprzemian z teorją gimnastyki, sygnalizacji lub kartografii. Najmilszą jednak atrakcyą były wykłady o obozowaniu. Prowadzone bardzo starannie i dokładnie, dawały szereg wiadomości, niezbędnych do życia w polu. Cóż mówić dopiero o owej sławnej wyprawie na dwudniową wycieczkę kursu, w celu praktycznego zaznajomienia się z obozowaniem w której brało udział i nasze „kakao.“ O wyprawie innym razem opowiem, teraz zaś należałoby wytłumaczyć, co to jest „kakao“ (myślicie pewnie, że amerykańskie?). K. K. O., czyli kierownictwo kursu, jest to kilka osób, które — tak rękoma, jak głową, najwięcej na kursie pracują. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że to są ludzie poważni lub surowi; przeciwnie — wszelkie najoryginalniejsze pomysły i dowcipy powstawały zawsze w ich głowach. Wspomnieć wystarczy naprzykład „zwarjowane kółeczko“ inaczej „krzesełkiem“ zwane — kręcące się w takt cygańskiej muzyki druhny Jagi. Wyliczać by można tysiące — a kto chce się przekonać o tem, niech na drugi rok jedzie na kurs. Prócz wielkiego zapasu wiadomości technicznych, wyniesie głębokie przeświadczenie, że harcerce, czy harcerzowi nic tak nie odpowiada, jak nasze własne, serdeczne środowisko.

RYCZĄCY BAWÓŁ.

(Ciąg dalszy).

Zawrócił ogiera i pognał z powrotem. Ale już go dojrzeli. Okrzyk zdumienia i wściekłości targnął powietrzem i zamarł we mgłach. Pochyliły się na kulbakach grzbiety, lunęły płomienie wystrzałów i zaczął się pościg szalony.

Szalona, zapamiętała jazda w dziewiczym lesie... Rżą konie, huczą wystrzały, rozdzierając mgłę ogniem błyskawic, wrzask dziki to wzmaga się, to cichnie. — Wypadli na prerję. Ścigłe rumaki biorą pęd największy. W mózgach rozszalałych zwierząt jedna żądza, jedno pragnienie: gnać, lecieć jak arkan, jak tornado, dopędzać i przegonić.

A tam, w górze dźwigają się w niebo majestatyczne, nieruchome góry. Mgły leniwie wiją się po nich, jak białe, ziemne gady... Lasy szumią, szumią...

— — — — — — — — — — — — —

Dziesiąty już dzień trwała gonitwa na śmierć i życie. Wojownicy zmienili się w żelazo i piorun, w lwa i panterę. Ryczący Bawół mija doliny i górskie pasma, kryje się w wąwozach, odstrzeliwa drapieżnym napastnikom, codzień w innych zasadzkach, podejściach i pościgach. Chytrość ma na chytrość, męstwo na męstwo, okrucieństwo i dzikość na okrutnego wroga. Odnajduje w mózgu pomysły i wybiegi, na jakie tylko w śmiertelnem niebezpieczeństwie umysł Indjanina zdobyć się może. Mięśnie stężały mu na kamień i stal, myśl t instynkt wyostrzyły się, jak klinga noża, siły organiczne napięły się, jak cięciwa łuku. W nieustannem niebezpieczeństwie odnalazł w sobie węch kanadyjskiego wilka — wzrok orła i czujność jelenia. Zaznał rozkoszy jazdy po stepie, gdy wicher tamuje oddech, kule świszczą koło głowy, a lęk pierwotny, radosny, niesamowity chwyta za gardło pętlicą. Zaznał zawrotnej jazdy po nurtach rzecznych na lotnem „kanoe“ i kilku godzin, długich jak stulecie, spędzonych w zasadzce. Rany serdeczne, rany krwawiące wiązał szmatą i opatrunki zakładał z kory drzewnej. I głód mu jątrzył wnętrzności i paliło pragnienie, piekł żar południa i trzęsły febrą mroźne noce. Aż przybył do rozległych puszcz stanu Arkansas i tu postanowił stoczyć walkę na śmierć i życie.

— — — — — — — — — — — — —

Przywiązał konia do drzewa, oglądnął nabitą rusznicę i długi nóż myśliwski pracowicie wyostrzył...

Oczy błyszczały mu przy tem, jak dwa płomyki na zczerniałej, spalonej wichrami twarzy. Cały przemienił się w słuch. Bywajcie psy Komanczów!

Szelest w gałęziach tarniny. Młode świerczki poruszyły się i chwieją gałązkami. Nieprzyjaciel...

— — — — — — — — — — — — —

Niedźwiedź patrzał bardzo ciekawie na człowieka. Odchylił łapą gałęzie i obserwował dziwne stworzenie stojące przed nim, mrugając przytem szelmowsko małemi oczkami. Ruda, szara morda, o okrutnych, wydłużonych szczękach kiwała się, jak u starca. Kosmate piersi, szerokie jak złom skalny oddechały ciężko...

Potworny, zwierzęcy lęk zdławił na chwilę duszę Indjanina. Oddech zamarł z trwogi. Źrenice rozszerzone patrzyły w oczy bestji... Ale nagle drgnął Ryczący Bawół, przyłożył broń do oka i wypalił. Piorun gruchnął z lufy rusznicy. Niedźwiedź zacharczał i włochatem cielskiem spadł na zuchwalca. Gruba, ciemna łapa, wagi cetnara zawisła nad czaszką człowieka.

Ale ten zwinął się jak puma i z romachem wpruł nóż myśliwski między żebra potwora.

(Dokończenie nastąpi).



PIOSNKI HARCERSKIE

TARNOWSKIEGO KURSU ZASTĘPOWYCH.

I.

Czy to w polu, czy w obozie
harcerz zuch i chwat,
czy pod wozem, czy na wozie
śpiewa, gwiżdże rad.
On nie stęka, gdy go nęka
sharatany but,
niechaj tylko brzmi piosenka,
za nic wszelki trud!

Mężnie dzierży kij na czacie
i wytęża słuch,
czy przy ogniu, przy herbacie
zawsze harcerz zuch.
Z niebezpieczeństw w głos się śmieje,
z wrogiem staje w twarz.
Hurra! niech się co chce dzieje
— to jest okrzyk nasz!

Drużynowy, łeb nie lada
skrzyczy, złaje sam
dzielnie robi, dobrze gada.
respekt zna dla dam.
A więc, wiara, w górę kije,
uczcić chlubę tą,
„dać mu rumu!" niechaj żyje!
w górę, w górę go!

Zagadki i szarady do nagrody.

Zagadki staropolskie.

I.

Wszystkim potrzebnam, a nikt mnie nie żąda,
Ten, czyją jestem, już mnie nie ogląda,
Ten, co mnie zdziałał, dla siebie nie życzy,
Po właścicielu nikt mnie nie dziedziczy.

II.

Co to za matka, co nie jest matką?
Co to za siostra, co nie jest siostrą?
Co to za ojciec, co nie jest ojcem?
Co to za brat, co nie jest bratem?

Szarady.

I.

Pierwsze trzecie — *wiecie,*
drugie pierwsze — *trzecie,*
na *wszystkie* w zimowej porze
polują myśliwi w borze.

II.

Pierwsze, to zaimek często używany,
drugie trzecie owoc wszystkim dobrze znany,
a kto *trzecie pierwsze drugie*,
ten ma bystre *pierwsze drugie*.
Wszystek postrach szerzy w lesie...
Jeśliś sprytny, domyśl-że się.

Za rozwiązanie powyższych zadań wyznaczamy **dwie nagrody** w postaci książek, do wylosowania.

Rozwiązania przesyłać należy w terminie do 10 listopada b. r. pod adresem Redakcji, z załączeniem odcinka, uprawniającego do wzięcia udziału w konkursie.

ROMUALD KAWALEC.

CHŁOPCY Z „DZIKIEJ OSADY"

Powieść z życia młodzieży.

(Ciąg dalszy).

Wywołało to tak wielkie wrażenie, że niektórzy chłopcy zadrżeli na całem ciele.

— Za mną! — zawołał dowódca i znikł pod ziemią.

Nikt nie ruszył się z miejsca. Dopiero gdy z dołu doszedł ich urągliwy głos: „a co boicie się?" — zbliżyli się do otworu.

W tej chwili rozbłysło światło latarki. Na dnie niezbyt głębokiego dołu stał wielki wojownik i spoglądał ku górze. Chłopcy już bez wahania zaczęli schodzić po zwieszającej się z boku drabince sznurowej. Dół nie był wielki to też z trudem pomieścili się w nim wszyscy. Wódz przekonawszy się, że nikogo nie brakuje, rzekł:

— Dalej za mną! — i pchnął ukryte dotąd w cieniu drzwi znajdujące się w jednej ze ścian, a wiodące do właściwej kryjówki.

Była to duża ziemianka umocniona grubemi palami i deskami. W środku stał stół, a dokoła niego ławki. Chłopcy usiedli na nich, ale byli tak zdumieni, że żaden nie powiedział ani słowa. Ciszę przerwał Wielki Wojownik objaśniając:

— Miejsce, w którem znajdujemy się, jest pozostałością z czasów wojny światowej. Odkryłem je przypadkową przed tygodniem za pośrednictwem mego „tygrysa", któremu przyszła fantazja grzebać tu tak długo, dopóki się nie dogrzebał tych tam na górze desek. Zadaniem naszem będzie przedewszystkiem tak urządzić tę kryjówkę, byśmy tu mogli spędzać czas z przyjemnością. Więc musimy zrobić podłogę drewnianą, obić tekturą ściany i przyozdobić je, założyć światło elektryczne...

— Bo? — zapytał niedowierzająco chłopiec nazywający się Zwycięskim Bawołem — Myślisz, że nie potrafię tego zrobić? Już mam nawet baterje gotowe i tylko trzeba jeszcze postarać się o drut i lampki; ale na to już nie mam pieniędzy. Musicie się wy złożyć! Jeżeli kto ma jakie pieniądze przy sobie, to niech je ofiaruje do kasy... naszego związku.

Prawie każdy z chłopców wziął udział w składce, ale były to tylko grosze.

— To wszystko mało — rzekł dowódca — aby pokryć wydatki, potrzebne na urządzenie naszej osady, musimy zaprowadzić miesięczne wkładki po dwie korony. Pojutrze mamy pierwszego, więc każdy z was będzie mógł przynieść...

— A skąd ja wezmę tyle pieniędzy — zauważył Jeleni róg.

— Dwie korony? — zdziwił się Wielki Wojownik.

— Mnie ani dwóch szóstek rodzice nie dają!

— To sobie pożycz!

— Od kogo?

— Od kogo chcesz! Kto nie zapłaci tej śmiesznie małej wkładki, nie będzie mógł należeć do grona dzikich wojowników. Tu chodzi o wielkie cele — dodał z patosem.

II.

Bolesław Piwecki, dowódca dzikich wojowników, siedział w swoim pokoju przy biurku, zajęty rysowaniem czegoś, gdy dał się słyszeć głos dzwonka, a niedługo potem nieśmiałe pukanie do drzwi.

— Wejść! — zawołał, nie zaprzestając swej pracy.

Ukazał się chłopiec, mogący mieć około trzynastu lat, w zniszczonem i brudnem ubraniu studenckiem, w podartych, od dawna nie czyszczonych bucikach o twarzy bladej, nacechowanej jakąś męską powagą, o niebieskich, myślących, zamglonych jednak nieco oczach. Z każdego jego ruchu przebijała nieśmiałość, posunięta aż do ostatecznych granic.

— Jak się masz, Piekarczyk — przywitał go Piwecki.

— Servus! — usłyszał w odpowiedzi.

— Wiesz co rysuję?

— Co?

— Plan dzikiej osady! Usiądź sobie; niedługo skończę, to porozmawiamy.

Chłopiec usiadł na samym brzegu krzesła i ukradkiem zaczął się rozglądać po pokoju, urządzonym nawet z pewnym komfortem. Był tu już niejeden raz, a jeszcze ciągle nie widział wszystkiego; gdy po długich namysłach zdecydował się n. p. spojrzeć gdzieś, a w tym momencie kolega poruszył się, lub powiedział słowo, spuszczał oczy w dół i długo potem nie śmiał ich podnieść. Zresztą często nawet wtedy, gdy patrzał, nie spostrzegał, tak bywał oszołomiony i przytłoczony tym dostatkiem, jaki tu znać było na każdym kroku, a o jakim on sam nawet nie śmiał marzyć. Jego kolega ma wyłącznie dla siebie pokój, on zaś z całą swoją liczną rodziną mieszkał w jednej małej izdebce w suterynach...

Kolega Piwecki ma takie „cudne biurko"! a na nim tyle pięknych rzeczy, którym dotąd nawet nie śmiał przyjrzeć się bliżej — a on, gdy swoje drobiazgi i parę książeczek umieścił w szufladzie dołowej, to matka zaraz mu je wyrzuciła z tamtąd i teraz walają się po wszystkich kątach. Jakiż on szczęśliwy, że może od czasu do czasu przyjść tu i siedzieć tak blisko tego biurka i czasem spojrzeć na inne wspaniałości! Przeraża go tylko każdy szmer, który dochodzi z dalszych pokoi, bo nie wyobraża sobie coby robił, gdyby nagle do pokoju weszła siostra kolegi, taka „elegancka, woniejąca perfumami, strojna"... Spaliłby się ze wstydu, gdyby spojrzała na jego biedne i „niestety" brudne ubranie, a już umarłby z wielkiej nieśmiałości, gdyby coś powiedziała do niego!...

— Piekarczyk! — zawołał naraz Piwecki rysując ciągle.

Chłopiec drgnął, a potem podniósł się z krzesła tak nieszczęśliwie, że wywróciło się na ziemię. Zabrał się do podnoszenia go cały czerwony, z kroplami potu na czole, a przy tej sposobności zawinął dywanik, co go jeszcze bardziej zmieszało...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odcinek, uprawniający do wzięcia udziału w konkursie.

Wydawca: Harcerska Komenda Dzielnicowa w Tarnowie. Z drukarni Józefa Pisza w Tarnowie, pod zarządem St. Starestki.